

RENARDOWSKĄ CIUCHCIĄ NA MAJÓWKĘ....

„Lasy kochane, zielone chłodniki,

Lasz kochane, zielone chłodniki,

Drzewa przyjemne szum dające z siebie,

Drzewa przyjemne szum dające z siebie,

Trawy, pagórki, biegnące strumyki,

Trawy, pagórki, biegnące strumyki,

Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie”

Przy was niech mieszkam, choć o suchym chlebie”

Elżbieta Drużbacka (1695 – 1765)

Elżbieta Drużbacka (1695 – 1765)



BEZPOWROTNIE JUŻ ZAMARŁA DAWNA RENDANARDOWSKA KOPALNIA WĘGLA KAMIENNEGO I STOJĄCY W NIEWIELKIEJ ODLEGŁOŚCI OD TEJ KOPALNI PRZYSTANEK KOLEJOWY, KTÓRY PRZEZ DZIESIĄTKI LAT TĘTNIŁ ŻYCIEM. W 2005 ROKU GDY TO MIEJCE PO RAZ OSTATNI ODWIEDZIŁEM, TO PO PRZYSTANKU JUŻ PRAWIE NIC NIE POZOSTAŁO. TYLKO W GŁĘBOKIM PAROWIE ROSNĄCA DZIKO TRAWA I CHASZCZE. TAK JAKBY Z BÓLU ROZPACZY POWYKRZYWIANE W RÓŻNE STRONY. A WSRÓD NICH WALAJĄCE SIĘ BETONOWE ELEMENTY DAWNEGO JESZCZE KOPALNIANEGO PERONU I JEDNA JAK NA IRONIĘ STERCZĄCA Z TRAWY SZYNA KOLEJOWA. JAKBY SYMBOLICZNIE I NA PAMIĄTKĘ POZOSTAWIONA PRZEZ ZŁOMIARZY

Już w pierwszych latach drugiej połowy XIX wieku na terenach dzisiejszego Sosnowca niemiłosiernie kurczą się zalegające tu od setek lat wielkie przestrzenie uprawnych pól, łąk i ogromne nie tak jeszcze dawno temu połacie lasów. Na Pogoni pod ciosami siekier w końcowych latach XIX wieku, w trakcie budowy przez Heinricha Dietla fabryki wełnianej przy ulicy **Dytlowskaja** (obecna ul. Stefana Żeromskiego), nieubłaganie padną też ostatnie większe skupiska leśne. W latach 20. XX wieku jakimś cudem ocalałe z wyrębu, ale już tylko pojedyncze skałowaciale sosny będą więc jeszcze cieszyły oczy sosnowiczian, ale już tylko w okolicy kolejowego Dworca Południowego i w końcowych południowych fragmentach klepiskowej jeszcze wtedy ul. Kościelnej. Moje już pokolenie z lat 30. XX wieku ten ostatni lesisty teren, leżący w zasadzie już tylko przy ulicy Kościelnej, opodal Szkoły Podstawowej nr 4, z kilkudziesięcioma zaledwie sosnami, będzie popularnie i jak na ironię określało „**Laskiem Sosnowieckim**”. Sprawcą nienotowanej dotychczas na tych ziemiach wprost totalnej zagłady przyrody i jednocześnie potwornego też skażenia wód i powietrza był wielki i zachłanny oraz dotąd tu nieznanymi wielobranżowy przemysł. Głównymi trucicielami były kopalnie węgla kamiennego i huty oraz wielobranżowe fabryki i zalegające niemal już wszędzie kamieniołomy jak i wapienniki. W zastraszającym i niekontrolowanym przez nikogo dotychczas tempie rośnie też las przemysłowych i domowych kominów, niemiłosiernie kopcących i też bezlitośnie zatruwających atmosferę. To wszędobylsko stosowany węgiel i koks, zarówno w przemyśle jak i powszechnie bez żadnych ograniczeń w budownictwie mieszkalnym, stopniowo ale skutecznie zatruje też dotąd czyste jak łąka powietrze.

* * * *

Według wyłącznie tylko bogatych osobników, portfele mieszkańców z Sosnowca ponoć z roku na rok o dziwo jednak pęczniały. Logika więc wskazywała, że szczególne ukłony wdzięczności zamieszkująca te tereny ludność powinna wówczas gremialnie słać ich zbawcom. Rzeczywistość wyglądała jednak wtedy zupełnie inaczej. Niskie, czy wręcz nawet głodowe płace i szalejące bezrobocie oraz niezwykle trudne warunki mieszkalne i socjalne jednak wbrew temu co wtedy propagandowo głośzono świadczyły jednak zupełnie o czymś zupełnie odmiennym. Tak było za czasów zaborów Rosji carskiej, wręcz podobna sytuacja patowa, niestety ale miała też miejsce w wolnej już i odrodzonej II Rzeczypospolitej Polsce. Skala nędzy i ubóstwa była bowiem widoczna niemal dosłownie wszędzie. Oczywiście poza garstką bogatych i majątnych ludzi. Wyjątkowo widoczne niedostatki były jednak wówczas widoczne na obrzeżach centralnych dzielnic Sosnowca. W chylących się do ziemi i okolonych powykrzywianymi płotami malutkich chałupkach i abisyńskich skleconych byle jak zabudowaniach. Chociaż – jak to wielokrotnie wspominali mi rodzice - w wielu przypadkach nie ominęła też pozornie sytego urzędniczego osiedla „Rurkowni Huldczyńskiego” przy Placu Tadeusza Kościuszki. Miejsca naszego wówczas rodzinnego zamieszkiwania i mojego też w 1937 roku urodzenia. Podobnie zaglądała też i do wielu dostojnych czynszowych mieszkań i podwórek w centralnych dzielnicach miasta.



Lata 60. XX wieku. U podnóża Śróduli ulica Piotrkowska wijąca się z sosnowieckiego Konstąntynowa do Bedzizna. Po lewej stronie charakterystyczne piętrowe komórki, gdzie gromadzono węgiel. Obecnie te zabudowania już nie istnieją.

* * * *

W tym to jeszcze okresie czasu prywatne automobile są wyłącznie tylko dostępne oligarchom państwowym i malutkiej grupie właścicieli kopalń, hut i fabryk oraz z innych też zakładów pracy. A publiczne środki lokomocji w postaci funkcjonujących już wtedy regularnie autobusów i tramwajów są dosłownie tylko śladowe, bowiem nie docierają w zasadzie bezpośrednio do „zielonych zagłębiowskich płuc”. Jedynym więc i powszechnie dostępnym publicznie pojazdem są konne dorożki. Ale też nie na każdą kieszeń mieszkańca Sosnowca. Rower, zwany jeszcze wtedy przez starszych osobników **bicyklem**, jest więc traktowany jako wyjątkowy rodzinny rarytas. Poznałem to zagadnienie doskonale ze wspomnień rodzinnych. Zagraniczni majątni właściciele przemysłu, niektórzy przebywający w swych luksusowych pałacach i odgradzeni od ludzkiej rzeczywistości wysokimi parkowymi murami, fundują więc w tej sytuacji wielu rozgoryczonym Polakom i obywatelom Polski z mniejszości narodowych różne środki marchewkowej zachęty, by tylko zatrzeć wyjątkowo niekorzystną sytuację materialno – socjalną i by zwabić do swego przedsiębiorstwa spośród robotników i urzędników jak najlepszych jeszcze fachowców. W tym samym niemal czasie niektórzy miejscowi lekarze zaniepokojeni stanem zdrowia swoich podopiecznych biją już na alarm.

Jest to bowiem przecież już okres, gdy Polacy wreszcie podnieśli się z wymodlonych kolan i zrzucili kajdany zaborcze. Wówczas to bardzo modne i nagłaśniane przez sielecką dyrekcję **Kopalni „Hrabia Renard”**, stają się tak zwane marchewkowe „wycieczki do iglastych lasów, kolorowych pól i łąk zielonych”. Popularnie zwane wtedy **majówkami**. Wyprawy rodzinne i dla samotnych osób poza zurbanizowane miasto, głównie więc oferowane są robotnikom oraz jak to wówczas określano „kadrze urzędniczej.” W tym ostatnim przypadku uczciwie jednak trzeba stwierdzić, że w zasadzie jednak tylko tym osobnikom, którzy byli zatrudnieni na tak zwanych umowach „śmieciowym”. Z lichym, bądź najczęściej tylko pustym portfelem.

* * * *

Majówki w okresie II Rzeczypospolitej Polsce najczęściej organizowano późną wiosną lub latem oraz w miarę możliwości jeszcze ciepłą jesienią. Te wyprawy poza miasto najczęściej wówczas łączono z ludową zabawą i tańcami pośród lasów, na polanach. Podobne zabawowe i taneczne imprezy organizowano też jednak dla wszystkich mieszkańców z Sosnowca w „Parku Renardowskim”. Obecnie ten park nosi nazwę Parku Sieleckiego. W tamtych latach, czyli za czasów zaborów Rosji carskiej podobnie jak i w okresie II Rzeczypospolitej Polski codzienny wstęp do „Parku Renardowskiego” mieli zapewniony jednak wyłącznie tylko nieliczni mieszkańcy z Sosnowca. Ci tylko, którzy posiadali przyznaną im przez Gwarectwo „Hrabia Renard” specjalną imienną przepustkę. Przepustki były przyznawane zarówno samotnym osobnikom jaki i rodzinom. Więcej na ten temat w moim artykule: - „ALEJKAMI PARKU RENARDOWSKIEGO”. Prawie podobna sytuacja z przepustkami miała też miejsce podczas okupacji niemieckiej. Przepustki dopiero zniesiono po 1945 roku.

Wyprawy poza miasto Sosnowiec, do zagłębiowskich „zielonych płuc” jak te tereny wówczas jeszcze popularnie określano, nad krystalicznie czystą **rzekę Białą Przemszą** i na łąchy rozgrzanego przez słońce żółtego jak płomień oliwnej lampki piachu oraz do lasów sosnowych przesiąkniętych żywicznym nektarem życia, były więc wówczas wręcz nawet zalecane przez miejscowych lekarzy. Według sosnowieckich medyków miesięczny pobyt w tych podmiejskich „kurortach” był jednocześnie tak zbawczym panaceum, że kołł nawet wiele dolegliwości jakie trapiły wtedy miejską ludność. Pobyt bowiem, według ich mniemania, w takim żywicznym klimacie miał ponoć nawet uzdrawiać też tych osobników, których już wtedy dotknęła ta straszna i jeszcze wtedy zupełnie nieuleczalna choroba

płucna, zwana gruźlicą. Natomiast rozgrzany złotymi promieniami słonecznymi nadrzeczny piach, miał nawet niwelować wszelkie dolegliwości związane z zaawansowaną już chorobą reumatologiczną. Dla pracowników i ich rodzin zatrudnionych w majątku Gwarectwa „Hrabia Renard” , a później Towarzystwa „Hrabia Renarda”, takie zielone wyprawy zaczęto wiec organizować w każdą wiosenną, letnią i jesienną niedzielę. Bowiem soboty były jeszcze wtedy powszechnie dniami roboczymi. Osoby spoza tego wielkiego koncernu mogły się jednak wówczas też „wkłęcić” do takiej wyprawy poza miasto. Szczególnie jednak ci co posiadali opłacone karty wstępu do „Parku Renardowskiego”. Romantyczna i zarazem lecznicza podróż kopalnianą ciuchcią w nieznane ostępy leśne do **Jężora**, była wtedy – jak wspominali rodzice - groszową wyprawą. Dostępna więc była na każdą, niemal też i pustą kieszeń. Przystanek kolejowy mieścił się wtedy niemal koło samej Kopani „Hrabia Renard”. Bocznicza ta już po opuszczeniu murów kopalni, wiła się w kierunku Ludwika. Już po minięciu wiaduktu kolejowego, przy dzisiejszej ulicy Klimontowskiej, początkowo jednak zanurzona była w głębokim parowie. Z tego przystanku kolejowego wiodła wtedy bardzo popularna dla mieszkańców z terenu Sosnowca trasa wycieczkowa do Jężora, pociągnięta w latach 1924 – 1927, a nawet w wyniku późniejszych innych jeszcze połączeń kolejowych do letniskowego wówczas pachnącego żywicą - **Bukowna** (wg. Stefana Waława Bieleckiego, „Kopalnia „Sosnowiec”. Dzieje zakładu górniczego w latach 1876-1997 oraz Sielca, dzielnicy miasta Sosnowca. Sosnowiec 2017, s. 79.). Koniec cytatu.

Rodzice wspominali, że ten wycieczkowy rozspiewany renardowski pociąg kursował już ponoć pod koniec wiosennych, letnich i jesiennych miesięcy 20. XX wieku. Nigdy jednak nie określili w trakcie wspomnień precyzyjnej daty. Autor w każdym bądź razie wraz z rodzicami i bratem - Wiesławem, gdy byliśmy jeszcze dziećmi, to dotarliśmy do tego przystanku po raz pierwszy dopiero pod koniec okresu dwudziestolecia międzywojennego, gdzieś wiosną roku 1938. Z tego okresu czasu nie zakodowałem już jednak żadnych osobistych wspomnień. Pozyskałem tylko wspomnienia od moich rodziców. Niestety ale tylko w formie drobnych przekazów.

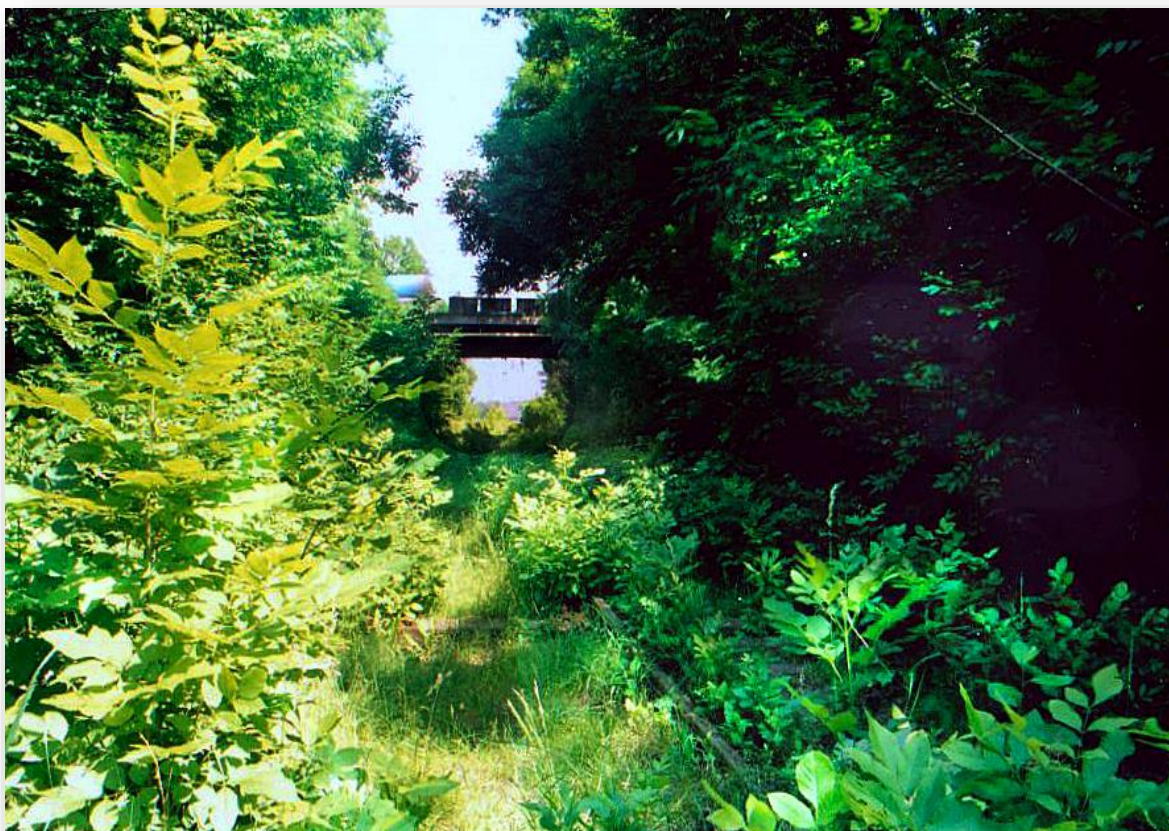
* * * *



Zdjęcie z 2013 roku. Widok na wieżę wyciągową i fragment dawnych zabudowań Kopalni „Hrabia Renard”, a po 1945 r. KWK „Sosnowiec”. Zdjęcie wykonano od strony ulicy Kombajnistów i Kukulek.

Przystanek kolejowy położony w głębokim jarze, który się ciągnął już od wiaduktu kolejowego, był już wówczas wyposażony, tak jak i zaraz po 1945 roku, w dwa perony. Leżące po przeciwnej sobie stronie bocznicowych torów kolejowych. Każdy peron miał długość około 50 metrów i szerokości co najmniej 3 metry - a może i ciut, ciut więcej. Środkowa powierzchnia przystanku pokryta była typowymi dwoma pasmowymi betonowymi płytami, które w niektórych miejscach w trakcie nastąpienia niemiłosiernie jednak drgały i wytwarzały taką wibrację, jakby miały się zamarzać zaraz rozpaść. Przynajmniej tak te perony zapamiętałem po 1945 roku. Obok pokrytych płytami betonowymi miejsc, już na klepisku peronowym, od strony ciągnących się tam po dwóch stronach uliczek, stały proste, bez oparcia drewniane ławki. Pobocza od strony ulic posypane były żwirem, a te na styku z szynami bocznic kolejowej, jak już wyżej wspominałem, pokryte płytami betonowymi. Już znacznie później, bowiem po 1945 roku, w pobliżu krawędzi, za którymi widać się bocznicowe szyny kolejowe, pociągnięto pas pokryty białą farbą. Był to szumnie wtedy określany - **pas bezpieczeństwa**. Patrząc w kierunku Kopalni „Hrabia Renard”, to peron usytuowany po lewej stronie przystanku (od strony ulicy G. Narutowicza) był chyba jednak ciut, ciut szerszy, od tego po prawej stronie, czyli od strony ulicy Rzeźniczej. W tej okolicy mieścił się jeszcze wówczas dawny barak jenieckich więźniów angielskich (patrz - Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, Rada Ochrony Pomników Walki i Męczeństwa, „Obozy hitlerowskie na ziemiach polskich 1939 – 1945”, PWN – Warszawa, 1979, s. 464. Przy ulicy Rzeźniczej w barakach mieścił się podczas okupacji niemieckiej: - *„Oddział roboczy jeńców brytyjskich obozu w Cieszynie (czes.) – Komando E 538 Stalag VIII B Teschen. Jeńcy pracowali w Kopalni ‘Sosnowiec’ (zw. wówczas ‘Renardgrube’). były śmiertelne wypadki przy pracy. 7. I.1945 oddział liczył 526 ludzi*). Koniec cytatu.

Nie wiem czy to jawa, czy to jeszcze tylko sen, ale takie po kilkudziesięciu latach od tam ostatnio byłem z moją żoną Renią Maszczyk, odnoszę subiektywne wrażenie. Miejsce w zasadzie było odosobnione i to przez większość dnia. Miejscowi więc „siłacze”, a takich jak pamiętam to nigdy w Sosnowcu nie brakowało, chyba więc tradycyjnie, podobnie zresztą jak i obecnie, demonstrowali swą głupotę i bezkarność, stopniowo niszcząc infrastrukturę przystankową. W pierwszej kolejności demolowali więc ławki, bazgrając je farbą, lub grawerując w siedliskowym drewnie, takie głupawe przekazy, jak: „*Julek kocha Zośkę*”, czy „*Baśka jest klawą dziewczuchą*”. Później przeszkadzały im nawet betonowe pokrycia przystanku.



Powyżej zdjęcie z 2005 r. W dali majaczy dawna jeszcze Kopalnia „Hrabia Renard” (po 1945 roku KWK „Sosnowiec”). Widoczny jest też opisywany wiadukt kolejowy. Kolejowy przystanek renardowski już jednak został zlikwidowany i niemiłosiernie zarósł. Po prawej stronie wśród wysokiej trawy widoczna jest jeszcze szyna kolejowa..... Obecnie już ten teren zniwelowano. I stoi tam już tylko market „ALDI”.

* * * *

Sapiąca i dudniąca oraz plująca niemiłosiernie dymem lokomotywa, z przyczepionymi do niej dwoma lub najwyżej trzema osobowymi wagonami, jakże charakterystycznymi dla tamtych odległych już czasów, gdzie stopień stanowiła u spodu umocowana na przestrzeni całego osobowego wagonu długa drewniana gruba deska, a wagon był podzielony licznymi przedziałami i wyposażony twardymi jak kamień ławami, zwykle stała na bocznicowych terenach **Kopalni „Hrabia Renard”**. Tam cały wehikuł przed każdą niedzielną wyprawą, ponoć skrupulatnie szorowaną ryżową szczotą, nie szczędząc mozołu, wody i mydła. Takie przynajmniej przekazy pozyskałem od rodziców. Bowiem po 1945 roku już takiej higieny absolutnie nie przestrzegano. W tym samym czasie, jeszcze na terenie kopalni, karmiono ciuchcią wodą i węglem. Wlewając do jej poziomego stalowego „brzucha” setki litrów tego drogiego dla niej płynu. Wodę czerpano z pionowego charakterystycznego kolejowego hydrantu. Natomiast już do węglarki sypano energetyczny węgiel kamienny, by go czasem nie zabrakło w trakcie jazdy. Punktualnie o oznaczonej godzinie, parowóz wraz z doczepionymi doń wagonami, po przekroczeniu granicznych murów kopalnianych, zaczynał się majestatycznie i dostojnie toczyć w tempie „na pół gwizdka”, wprost do wyznaczonego przystanku kolejowego. Już jednak po przekroczeniu widocznego na powyższym zdjęciu wiaduktu kolejowego, zawieszono tuż ponad torami, a leżącego w pobliżu przystanku kolejowego, doniosłym gwizdem oznajmiał stojącym na peronie pasażerom, by odsunęli się na bezpieczną odległość od torów kolejowych. Przed toczącym się parowozem bardzo często, w znacznej jednak od niego odległości, kroczył też dumnie ubrany w charakterystyczny mundur kolejarski zawiadowca z trzymanym w ręce tak zwanym „lizakiem” i dawał znak, by wycieczkowicze spokojnie oczekiwali na swoich miejscach, aż toczący się i sapiący parowóz zatrzyma się przy peronie. A ponieważ najczęściej to nie pomagało, wówczas doniosłym krzykiem, a niekiedy nie szczędząc też i gwizdka, oznajmiał o jego zbliżaniu się.

Gdy wycieczkowy wehikuł stał jeszcze na bocznicowej kopalnianej i nie był jeszcze absolutnie widoczny zgromadzonym pasażerom z peronu, to każdorazowo dość pokaźna grupka zgromadzonych tam osób stała najczęściej pozornie spokojnie i cierpliwie też oczekiwała na jego przybycie. Metamorfoza kulturalna u pewnych osobników burzyła się jednak diametralnie z chwilą, gdy tylko buchający dymem i sapiący pojazd, wynurzał się już spod wiaduktu kolejowego. Wówczas to pośród dotąd stojącej spokojnie gromady wycieczkowiczów, nagle pryskał jak bańka mydlana drobnomieszczański bon ton. Odlatywały też w przestworza wszelkie dotychczasowe zasady ludzkiej przyzwoitości. Bardziej „cwani” i sprawni osobnicy cisnęli się bowiem wtedy do wagonów osobowych na „*leb i na szyję*”, by tylko jak najszybciej i za wszelką niemal cenę, zająć luksusowe miejsca „kanapowe” w jednym z drewnianych wagonowych przedziałów. Te zjawiska kulturowe poznałem już osobiście ale dopiero po 1945 roku.

* * * *

Już po dotarciu do Jęzora, ci osobnicy co bywali tam stosunkowo często, to natychmiast niemal z marszu zagłębiali się w żywiczne lasy idąc swoimi znanymi im tylko wydeptanymi leśnymi ścieżkami. Inni natomiast pasażerowie z tego kopalnianej wehikułu, którzy tam nie gościli nigdy mimo woli podążali za nimi. Jeszcze wtedy rzeka **Biała Przemsza** była czysta jak woda źródłana, pełna flory i fauny. A łachy żółtego oliwkowego piachu zaległy nie tylko wzdłuż jej brzegów po obu jej zalesionych stronach, ale były też widoczne w nurcie toczącej się leniwie wody. Nurt rzeczny był jeszcze wówczas płytki i przejrzysty jak w luksusowej kawiarence okienna szyba, więc nie było obawy, że bawiące się w nim dzieci mogą doznać jakiegokolwiek krzywdy. Majówkowi turyści masowo więc korzystali z ciepłej i

leniwie toczącej się wody i pluskali się w niej dowoli. Inni w tym samym niemal czasie wylegiwali się na rozgrzanych łąkach piachu. To majówkowe brodzenie w rzece i wylegiwanie się na rozgrzanym piachu oraz niekończące się spacerunki wśród żywicznego lasu nastrojały taką witalną siłą przybyszy, że powroty traktowano jako zło konieczne. Niestety ale by z tych ostępów leśnych powrócić kopalnianą ciuchcią, to trzeba było punktualnie zjawić się na przystanku kolejowym w Jęzorze.

* * * *

Te kopalniane majówkowe wyprawy, do których w miarę upływu lat już oficjalnie i bez żadnych ceregieli mogły się już też „załapać” osoby kompletnie nie związane z Kopalnią Węgla Kamiennego „Sosnowiec” były jeszcze modne w PRL, ale zaledwie już tylko w pierwszych latach 40. XX wieku. Jednak wtedy do kopalnianego parowozu tylko niekiedy podczepiano już tylko jeden wagon osobowy. Najczęściej więc wtedy kursował i taki właściwie stosunkowo dobrze zapamiętałem, specyficzny zespół wycieczkowy, składający się z dwóch lub trzech krytych towarowo - bydłowych wagonów, wyposażonych tylko na poboczach w proste drewniane, zbite z desek ławy. Niektóre ławy były składane. Ciężkie i masywne przesuwane drzwi w tych towarowych „pulmanach” były zawsze szeroko na oścież otwarte, a przestrzeń pomiędzy przesuwanymi drzwiami, była zabezpieczona raczej prowizorycznie, tylko dwoma metalowymi prętami. Mieszkańcy Sosnowca z charakterystyczną sobie ironią, ochrztili te charakterystyczne „pulmanowskie” składy wagonowe – „**krowiakami**”. Podobno od pierwszych lat 50. XX wieku, jednak już nie organizowano zbiorowych wycieczek majówkowych, ale parowóz z doczepionymi bydłowymi wagonami dalej kursował i to w dwie strony. Zapuszczał się bowiem nawet, jak to wspominają starzy już górnicy z tej zlikwidowanej już dzisiaj Kopalni Węgla Kamiennego „Sosnowiec”, nawet w odległe od Sosnowca rejony Zagłębia Dąbrowskiego. By tylko przywozić i na powrót odwozić, zwerbowanych do pracy w podziemiach tej kopalni – jak ich wtedy określano - **chłoporobotników**.

Może jeszcze tylko wspomnę, że ostatni raz miałem okazję podróżować tym niezwykłym „pulmanem”, ale tylko do Jęzora w latach 50. XX wieku. Natomiast z Jęzora udaliśmy się później jeszcze pieszo do Dębowej Góry. Tą obecnie dla mnie sentymentalną i romantyczną podróżą była wówczas hucznie nagłaśniana przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Sosnowcu akcja – „*młodzież ‘Staszica’ społecznie porządkuje Jęzor i zadrzewia sadzonkami iglastymi Dębową Górę*”. Koniec cytatu. Bardzo nas wtedy do tej akcji zachęcał też w liceum „Staszica” sam pan dyrektor Julian Latosiński. W rezultacie na tą niezwykłą ciuchciową podróż załapało się wtedy co najmniej tylko kilkudziesięciu licealistów z całego Liceum im. Stanisława Staszica w Sosnowcu. Wtedy to w czynie społecznym oprócz sprzątania Jęzora mieliśmy też jeszcze powiększyć zielone obszary płuc Zagłębia Dąbrowskiego. Pamiętam więc jeszcze doskonale, jak na rozległych aż hen po horyzont niezadrzewionych polach Dębowej Góry, gdzie hulał dotychczas jeszcze tylko wiatr, pod nadzorem leśniczego sadziliśmy wtedy malutkie iglaki. Do Dębowej Góry kolejny już raz dotarłem, tym razem wraz z moją żoną Renią Maszczyk dopiero po kilkudziesięciu latach nieobecności w tamtych stronach. Było to chyba późną wiosną lub początkiem lata roku 2015 lub 2016. Jeszcze wtedy moja ukochana – Renia, była wyjątkowo sprawną kobietą, pełną więc życia i nadziei na przyszłość, przynajmniej na najbliższe lata. Niestety ale odeszła jednak niespodziewanie i nagle z tego świata 1 sierpnia 2017 roku, mając zaledwie 75. lat ziemskiego życia.

Ku memu rozczarowaniu, jednak już po dotarciu do Dębowej Góry konkretnego miejsca gdzie zakopywałem w gruncie polnym malutkie sadzonki iglaste już jednak nie odkryłem. Żona jak zwykle w takich sytuacjach mnie jednak pocieszała. Błądziliśmy więc po zakamarkach tej sosnowieckiej dzielnicy w poszukiwaniu tego zaczarowanego i zbiegiem lat coraz bardziej sentymentalnego oraz romantycznego dla mnie miejsca. Jednak bez pozytywnych skutków. Możliwe, że spowodował to ponad 62. letni przedział czasowy, kiedy tam jako jeszcze młodzieniec byłem. Spotykani przez nas przypadkowo przechodnie nie kojarzyli moich sentymentalnych i romantycznych wspomnień. Twierdzili natomiast, że w tych stronach to faktycznie rośnie posadzony po 1945 roku jakiś iglasty las. Czy mówili wówczas jednak prawdę? Czy po prostu widząc dwie starsze już wiekiem osoby, do tego jeszcze zagubione w tym terenie, chcieli nas tylko, tak po ludzku pocieszyć. Absolutnie bowiem nie mogli podać

daty zadrzewienia tych polnych wtedy terenów. Wskazywali nam tylko ręką kierunek, gdzie ponoć ten las jednak się znajduje. Jednak tymi dotychczasowymi poszukiwaniami byliśmy już wtedy do tego stopnia zmęczeni, że zrezygnowaliśmy z dalszej penetracji tego terenu. Jak już wyżej wspominałem dawny sielecki kopalniany przystanek kolejowy, który jest prezentowany wyżej na zdjęciu, teraz obecnie już nie istnieje. Nie pozostał po nim nawet żaden ślad. Chyba poza moim powyższym zdjęciem. Podobnie jak uległy też dewastacji, zarówno miejscowa żywicielka - renardowska kopalnia, okazałe fabryczne osiedle mieszkaniowe, dwór i okoliczne pola uprawne, itd., itd. Również i „Park Renardowski” jak go wówczas określało starsze jeszcze pokolenie mieszkańców z Sosnowca, też już znacznie odbiega od stanu pierwotnego. Nawet tego z lat 50., a nawet 60. XX wieku.....No cóż ? Świat się zmienia.....Ale my w ślepej i ułudnej pogoni życia, najczęściej jednak tego nie widzimy.....

Pierwsza szcążkowa wersja tego artykułu została opublikowana w listopadzie 2012 r. Natomiast jego druga wersja tym razem już znacznie poszerzona o nowe pozyskane fakty została opublikowana w listopadzie 2012 roku. Niniejsza publikacja jest więc już tylko uzupełnieniem listopadowego z 2012 roku o tym samym tytule artykułu. Tym razem jednak znacznie poszerzonego o nowe sentymentalne i pełne żalu informacje oraz zdjęcia.

Katowice, luty 2024 r.

Janusz Maszczyk